Rok 1937 17 stycznia Nr 3

DZWONECZEK

pod redakcją ELI OLESKIEJ

DZIAŁ DLA MŁODSZYCH CZYTELNIKÓW „DZWONU NIEDZIELNEGO“

MODLITWA

Stwórco! my Twoje stworzenia,
Chwałę Twoją świętą głosim:
Czem jesteśmy — Twe zdarzenia,
Pozwoliłeś prosić — prosim.

Łaska Twoja daje, bierze.
Dasz czy weźmiesz — zawsześ panem.
Dasz użytek, daj go w mierze,
To jest najszczęśliwszym stanem.

Twoje dawać, nasze prosić,
Twoje kazać, nasze służyć.
Dasz ubóstwo, daj je znosić,
Dasz obfitość, daj jej użyć.

Ignacy Krasicki.

Od Adasia Chmielowskiego do Brata Alberta

(Dalszy ciąg)

Wobec przeważającej po stokroć siły moskiewskich zaborców nikły, malały zastępy polskich wojowników. Choć niejednokrotnie odnosili świetne nad wrogiem zwycięstwa, to przecież zmóc go nie mogli. Drobne oddziałki, nie chcąc się ani poddać, ani walczyć już nie mogąc dłużej, przekraczały nieraz granice Królestwa i zostawały rozbrajane. Tak stało się z oddziałem Adasia: rozbity przez Moskali, przeszedł granicę austriacką, gdzie po rozbrojeniu wszyscy niemal zostali uwięzieni.

Poszczęściło się jednak młodziutkiemu bohaterowi. Wraz z przyjacielem uciekł z więzienia — i powrócił w lasy, by się znowu połączyć z powstańcami i walczyć dalej w obronie Ojczyzny. Został teraz adiutantem pułkownika Chmielińskiego, a jako taki dźwigał na sobie ciężkie obowiązki. Każdej chwili gotów do niesienia rozkazów wodza, gdzie jeno okaże się potrzeba, narażony był na wszelkie niebezpieczeństwa, a przecież szczęśliwie omijały go moskiewskie kule, tak, że uchodził między zabobonnym żołdactwem rosyjskim za czarownika, którego śmierć się nie ima.

Aż przyszła chwila straszliwa. Pędząc co koń wyskoczy z meldunkiem dowódcy do najbliższego oddziału, zostaje rażony granatem, który mu rozszarpuje nogę. Okropna rana, pozostawiona bez natychmiastowego opatrunku, grozi gangreną. Aby ocalić więźniowi życie, na to, by go potem władze carskie mogły ukarać dożywotnim wygnaniem lub szubienicą — jak to powszechnie robiono z ujętymi w niewolę powstańcami — lekarze wojskowi postanawiają ucięcie nogi. Bohaterski młodzieniec znosi nadludzkie cierpienia, nie dozwoliwszy na sztuczne uśpienie go, czym wzbudził podziw wśród wrogów.

Za cudownym tedy zrządzeniem Opatrzności, która Adasia upatrzyła sobie za narzędzie swego działania, w przyszłości, przychodzi rychło do zdrowia, tak, że już może odbyć swoją karę. Ale pokrzyżował te plany Bóg. Adaś — zamiast jakiegoś zmarłego — zostaje w trumnie wyniesiony ze szpitala, ukryty

w pewnym dworze, a następnie wywieziony do Francji.

I oto zaczyna się teraz dla niego nowe zupełnie życie. Nie praca na roli, do czego służyć miała nauka w Puławach, nie wojowanie o Polskę, którą straszna jeszcze czekała niewola, ale życie artysty miało być jego udziałem. Adam zostaje malarzem. Tworzy obrazy piękne, którymi zachwyca towarzyszy, ale jeszcze bardziej zadziwia ich każdym swoim słowem. On w sztuce malarskiej chce służyć — nie jak inni światu — lecz Bogu; on chce, aby artysta nie pracował jedynie dla pieniędzy i sławy, ale żeby stał się niejako kapłanem Bożego piękna.

Mijają lata. Adam pracuje już w kraju, wśród swoich. Zna Kraków, zna Warszawa, tę piękną postać powstańca, o sztucznej nodze. Otoczony jest przyjaciółmi i ludźmi, którzy widzą w nim wielkiego artystę.

(Dokończenie nastąpi.)

Zwierzęta — sieroty

Bezbronne małe stworzenie, pozbawione opieki macierzyńskiej, wzbudza litość każdego człowieka, który posiada choć odrobinę serca. To też nie dziw, że i opuszczone zwierzątka znajdują często miłosiernych opiekunów, zwłaszcza w krajach o wysokiej kulturze, bo niestety, o Polsce jeszcze tego powiedzieć nie można. Tu bezradne kocięta czy psięta stają się niekiedy w rękach okrutnych chłopaków ofiarą bezlitosnej zabawy.

Pewien mieszkaniec Szkocji znalazł raz w lesie maleńkiego kosa, ślepego jeszcze i bez piórek. Umieścił go w ciepłym gniazdku i karmił mlekiem z wodą za pomocą kroplomierza. Zgłodniały ptaszek przyjmował chętnie podawane w ten sposób pożywienie, i w niedługim nawet czasie zaczął pokazywać grymasy, nie chcąc np. pić mleka niesłodzonego. Ponieważ był jeszcze zupełnie nagi, trzeba go było trzymać w bardzo ciepłym pokoju, aby choć w części zastąpić mu ciepło matczynego ciała.

Trudniejsze było wychowanie lwiątka, które straciło matkę przy swoim przyjściu na świat. Maleństwo nie chciało przyjmować żadnego posiłku z ludzkiej ręki, która posiadała dla zwierzęcia wrogi mu zapach. Trzeba było mleko w butelce ze smoczkiem stawiać na pewien czas w lwiej klatce, aby przeszło wonią drapieżców. Później jednak lwiątko tak się przyzwyczaiło do ludzkiej opieki, że samo przynosiło w pyszczku swoją miskę, prosząc o mleko, niby wytresowany psiak.

Niesłychanie przywiązują się do swych opiekunów małpki. Ale najzabawniejsze chyba było wychowanie małej foki. Nie zdążyła ona odpłynąć wraz ze starszymi, które na widok ludzi pośpiesznie oddaliły się na środek oceanu, zostawiając biedne stworzenie na łasce losu. Los jednak był dla foczęcia bardzo szczęśliwy, gdyż pewna bogata Amerykanka, widząc co się stało, uprosiła rybaków, by je wyratowali, gdyż chce sierotę wychować. Wielkości małego pieska, o fałdującej się skórze, foczę okazało się nadzwyczaj mądre i pojętne, a przytem zdradzało wielki apetyt. Amerykanka karmiła więc znajdę oślem mlekiem, podawanym również w butelce ze smoczkiem.

Wychowanka tak pokochała swoją opiekunkę, że kiedy tylko była głodna, bez ceremonii pakowała się jej na kolana i przymykając oczy, otwierała pyszczek, oczekując na smoczek. Ostatecznie pieszczoty te musiały się skończyć, gdyż foczę wyrosło na wielką fokę, w dalszym ciągu bardzo przywiązaną do swojej pani, która musiała swej ulubienicy zastąpić ośle mleko pożywniejszymi dla takiego zwierzęcia rybami.

Z tych kilku przykładów widzimy, jak zwierzęta umieją się wywdzięczać za okazaną im dobroć.

N. C.



Jestem sobie kuchareczka.
Pyszne zrobię dziś ciasteczka,
Aby moi goście mili
Raz się u mnie posilili.

A więc mąki, cukru, mleka,
Także masła z dziesięć deka,
I rodzynków i migdałków
I wszelakich fidrygałków.

Ale to ci gapcia ze mnie!
Cała praca nadaremnie,
Gdybym była zapomniała
I jajek tu nie wtrzepała!

Teraz smak jest doskonały,
Mówi mi to język mały.
Więc do formy i do rury —
Będą ciasta całe góry.

Mściciel z Zameczka.

POWIEŚĆ. Napisał Marian Warta.

(Ciąg dalszy).

— Gdybyśmy po przodkach odziedziczyli inną religię, możebym ja pierwsza synów swoich uczyła nienawidzieć nieprzyjaciół i mścić się ząb za ząb, oko za oko. Ale my Polacy wszak jesteśmy chrześcijanami. Więc wyznając naukę Zbawiciela, który jeszcze z krzyża mordercom swoim przebaczał, musimy iść przez życie jedynie z tą wielką miłością, co nie tylko przyjaciół, ale właśnie wrogów kochać każe. Synu mój, ile razy rzuci kto na ciebie kamieniem, odpłać mu to chlebem. Przekonasz się, że zadowolenie serdeczne, jakiego doznasz, da ci więcej szczęścia, aniżeli owa rozkosz urojona, którąbyś się nasycił z krwawej zemsty nad wrogiem.

V. Tajemnica podziemi.

Gościńcem, łączącym folwark z dworem w Zameczku, przebiegło kilkunastu jeźdźców.

Byli to żołnierze rosyjscy z oddziału wywiadowczego. Uciekali przed pościgiem nieprzyjacielskim.

Śpieszyli schronić się za bramą domu Boliwanowa, a tu już im Polacy niemal na kark wpadali. Jeszcze kilkanaście kroków, a zdążą się zamknąć w forteczce.

Lecz właśnie pogoń przyśpieszyła kroku. Trzydziestu jeźdźców polskich pędziło jak wicher, puszczając na oślep kule przed siebie.

Zbyt ważną wiadomość zdobyli moskale, by można było pozwolić na ich ucieczkę. Za wszelką cenę należało nie dopuścić, by owa wiadomość dostała się do obozu rosyjskiego.

Odległość jednak za wielka dzieliła ścigających od ściganych, to też z chwilą, gdy ostatni koń z rekonesansu moskiewskiego wpadał za otwarte dla nich wrota dworu Boliwanowa, przyskoczył do ich progu pierwszy z jeźdźców polskich.

Przywitał go strzał z kartaczownicy, z nad zamykanej właśnie bramy. Koń rozerwany na dwoje zawalił drogę następcom, którzy cofnęli się nagle i zawróciwszy z miejsca, objechali małą warownię dokoła.

Przy gościńcu, w ukryciu za skałą, zostało kilku powstańców na czatach, by z oka nie spuszczać bramy, przez którą tymczasem mógłby się kto wymknąć z ową ważną wieścią do swego obozu.

Reszta oddziału Polaków, do których za chwilę przyłączyło się jeszcze kilkudziesięciu jeźdźców, przeniosła się na tyły dworu, gdzie od strony łąk podnosiła się niezwykle stroma góra, zamieniając w tym miejscu dwór w zameczek obronny.

Ze szczytu wzgórza, z poza zębatego muru, przywitano zbliżających się powstańców gradem kul ognistych.

Nikt sobie z tego nic nie robił. Postanowiono szturmem, dostać się poprzez wysoką górę i mur obronny na jej wierzchu do środka, by uniemożliwić oddziałowi wywiadowczemu, który się tam ukrył, porozumienie się z obozem rosyjskim.

Rozpoczęła się walka zawzięta i trwała przez kilka godzin bez przerwy.

Okazało się po pewnym czasie, że na sam szczyt stromej góry nie można wedrzeć się konno, przeto dalszy szturm odbywał się pieszo.

Sypiące się z hukiem z góry granaty dziesiątkowały nieustraszonych powstańców. Dwa ich połączone oddziały zmalały już do połowy. Mimo to nikt jeszcze nie dawał za wygrane.

Ranni niejednokrotnie nabijali strzelby na nowo i szli przebojem na górę, w ślad za swym młodym dowódcą, który z pałaszem w poranionej ręce zachęcał ich do wytrwania, sam pierwszy pierś nastawiając na zabójcze szrapnele.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ROZWIĄZANIE ZAGADEK Z NRU 2:

SZARADA:

kara, kary, raka, tura, katu — karykatura.

WŁAŚCICIELE BILETÓW:

blacharz, budowniczy, białoskórnik.



Jak polska pyza wędrowała

III.

A jedna pyza, pyza pyzata,
W mig się stoczyła na łąki [w kwiatach,
Jak się stoczyła na wielkie [łąki,
Spojrzy do góry: lecą [skowronki.

(Ciąg dalszy nastąpi)